

Od autora: Stylizacja językowa celowa. Całość jako jeden, wielki żart :)

1 marca 2013, Wyczerpy Dolne, 17.33, wiatr zachodni, po czipsach paprykowych.

Walę browca pod sklepem, patrzę, idzie wyczesany lachon z piórami jak Indianin, no to myślę, że trzeba rwać mięsko póki gorące, bo jak ostygnie, to kwas, a im dalej w las, tym większy kwas.

- Bejbe, bejbe! – krzyczy Czesław. – Du ju low mi?

Idzie do mnie i patrzę, że znam tę ćwarz skądś tam i krzyżujemy ochoczo oddech o parci o murek, bo laski lubią, jak się ostro przykowboi, a ja maczo, że drugi taki może gdzieś w Kanadzie żyje, albo się jeszcze nie narodził.

- Skarbie, kopsnij paczkę na gacie, bo Czesławowi na dupsku już jeno jakiś ochłap dynda.

Ona, że kukuryku na patyku.

No to ja w te pędy, że trauzers mi się zdarli i tylek ludzie widzą, jak chadzam po ulicach naszego pięknego pueblo, a o swój imejdz dbam po pańsku.

Ona, że paczka to kupa mamony, a ja jej, że coś ty z wiatru robiony cudak, więc pożyczka ma być grana, bo galot na tyłku ma wisieć jak order na cyckach męskich.

Polecieliśmy znów w ślinę z jęczyzkiem, i tak ją wymerdałem po czesławowemu, że stówencję chętnie wydziera spod stanika i gra muzyka, panie dzieju.

Teraz mam zarąbiaste dzwony jak na Wawelu, albo ci tam, na tym Wawelu, mają takie dzwony, jak ma Czesław, który często pisze. No. I jest w deskę, kolo!

23 kwietnia 2013, Grzdyl Wąski (osada), 11. 12, deszcze niespokojne, po nagłej defekacji.

Siedzę na trawie i palę fajka, zajeżdża jakiś bonzo Mercem. Okular czarny, stajlowy. Pilotem furkę zamknął i lezie w moim kierunku, że sobie pomyślałem, że to ja jestem u niego, a nie on u mnie. Takie panisko z woskiem w uszach i małym, sflaczałym fiutem. Kurzę lichego szluga i ignoruję. Nawet mi się czknęło. On staje nade mną i w te pędy zagaja powoli, że na daczy jest robota po zimie. Gałęzie trza pozbierać, koluchy pograbic i jeszcze coś tam, ale nie pamiętam.

Pytam się:

- Ile?

On:

- Co, ile?

Ja mówię:

- Ile płacisz pan za tę fuchę?

On mi na to, że pięć złotych za godzinę. Myślę, będzie na jabole i kiszkę. Wchodzę w ten biznes, ja mu walę. On się durnie uśmiecha i powiada, że nie tak łatwo z tymi lodami. Ja mówię: co śmierdzi? On, że posesja ma dwa hektary i trza dymać tam i z powrotem od rana do wieczora, żeby mu ten szajs uprzatnąć, bo małżonka przyjeżdża za dwa dni i ma być picuś glancuś. Coś mi ta robótka zalatuje, myślę. Dziad mi gada, że dwóch ludzi ma być, bo mu się pali. Myślę, że jeszcze ci się nic nie pali, ale jak będziesz pyskacz, to ci z Mietkiem ogień podłożym i git. Wkurza mnie na koniec. Gada jak do kmiota, że te pięć złotych na dwóch do podziału.

- Och, ty chamie bury! – wrzasnałem i z buta z gleby wrywam.

Cegłówka leży w trawie i tylko czeka. Zrywam się ja na równe nóżki i tą cegłową mu w Merca i wypad mi z baru! On z łapami, to mu w japę raz i dwa pakuję, a łapsko mam jak bochen chleba. On spękał, puścił bąka i do karetki wieje. To ja mu kopniaka na drogę aplikuję i ostrzegam, żeby mnie koło pióra nie robił, bo będzie dym.

Więcej pryka nie widziałem.

7 maja 2013, Koluchy Bure, 21. 33, ciśnienie w normie, po serialu brazylijskim.

Znałem razu pewnego panienkę której śmierdziało z paszczy. Nie szło wdychać tego okrutnego smrodu. Capiło niemożliwie. Mogło zemglić. Czasami oddychałem „na karpia”. Mówię jej kiedyś: „Idź ty lepiej do dentysty.” A ona mi na to: „Jestem krótka na kasę”. Więc jej pożyczyłem stówę. Potem zapadła się pod ziemię wraz z moją forsą. Dzwonię i mówię: „Oddawaj stówę, bo mnie suszy, chcę zalać pałę”. Odłożyła telefon i ignorowała moje esemesy. Tak to z babami gadać.

Kiedyś na murku robię browca, patrzę, idzie, taka wyczilałowana. No to wyskakuje jak z procy i gadam o długu.

Patrzę, że jej już z paszczy nie zajeżdza. To jej dałem puszkę piwa i piliśmy na moim ukochanym murku. Mietek też się dosiadł. I nie przeszkadzało mi, że była szczerbata.

Gdyż jej tego śmierdzącego zęba kowal wyrwał. Miała w ten sposób przerwę na szluga albo mogła sobie tam wsadzić ołówek. Coś za coś.

20 maja 2013, Cibki (Pomorze Zachodnie), o świcie, gdy budzi się życie.

Jadę raz windą w takim wylaszczonym bloku, co to nowobogaccy żyją w nim za piętnaście kredytów, w mieście na północy, i wsiada baba z dzieciakiem. Śmierdzi od niej ostro potem. Głaszcze małego po głowie i gada, że rowerek mu kupi, jak dostanie piątkę z geografii za tydzień. Nos mam zatkany, bo syf jak cholera, jeszcze chwila, a obrzygam jej facjatę.

Że też te baby albo cuchną śledziem z zapyziałego krocza, albo potem spod niemytych pach.

Jak Jadźka, co to ją podrzucałem na drążku w krzakach w niedzielę, a im ostrzej jechałem z tym koksem, tym bardziej ona pierdziała i capię od niej jak ze śmietnika.

Winda staje na drugim piętrze i pcha się tęgi, potężny babon o rozmiarze buta czterdzieści trzy.

No i co ja widzę?

Ja widzę coś.

Oj, widzę.

Oj, każdy nieślepiec to by zobaczył w te pędy.

- Dlaczego ta pani ma wąsy? - pyta mały.

- Bo jej urosły jak panom - odpowiada roztropnie matula.

- Bzdura - włącza się babon. - Byłam sławną biegaczką – bredzi wyniośle.

- Co? - matka pyta.

- Na olimpiady się jeździło - wąsacz na to.

- Rozumiem.

- Trochę przesadziłam ze sterydami... - potwór gada, strzygąc wąsem jak Pan Wołodyjowski.

- Do widzenia pani - rzekła matula, wzięła bachora za łapę i z windy.

Ja też wypaliłem po kozacku dzidę, bo smród mnie zmógł jak tysiąc czortów i pod samą gardziel obiad mi podszedł.

No i wąsy.

9 czerwca 2013, Chójnik, 7.44, lekkie zachmurzenie, po spożyciu najtańszej pizzy.

Się zarobiło przy grabieniu liści z Mietkiem parę peelenów i myślę trza coś wylaszczyć, bo nocka bez dziewoi to jak smętny nocnik bez tyłka. Brudne miałem łapy, śmierdziały jakimś szajsem. Otarłem o gacie jak panisko spod Grójca. Na frycka miałem też, no to się tam przetransferowałem, i babeczka jak lalka z mych snów jeździła mi odjazdową maszynierią po czaszencji i pytam, czy telefon mi da, bo ja ogier. Kocham te sprawy...

Nie. Nie dała. Wiernością pojechało.

- Męża mam - mówi. – To piłkarz w klubie Zieloni Zadupie.

Kurka!

Bimbo!

- Potrzebuję zakutasić – ja jej na to.

- To od czego rączka?

Wyszedłem z lokalu i spotkałem na winklu Jolkę. Tyłeczek wypas, czad korporejszyn, tylko sztyftować.

Kuku no. Dżaga. Funkiel nówka nieśmigana, że szokendroll.

Obiecałem, że ustawka w łikent. Pod kioskiem. Z lewej strony, bo tam wiatry są spokojne. Się nie udało.

Idę do starych i pytam, co jest. Gdzie mój lachon? Miałem randkę pod kioskiem. Mam prawo do kobiet.

Lubię sobie popukać. Druga wojna już się skończyła, a ja cierpię na priapizm.

- Powiesiła się - mówi fader.

- No to kiedy mogę wpaść?

- Nie wiem - mówi fader.

- No ją odetnijcie. Problemo? Przyszedłem to szekierałtować. Ja mam z nią randkę, kapiszi? Dziadygo, nie rób mi na złość. Jak ją zakopią, pójdę i zaniosę ją na chatę i będę reanimować. Love is bjutiful..

Pryk odwrócił się zadem i poszedł.

Chciał zakowboić.

Di ent – not to bi continjut, for sior.

18 września 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 21.09.2013 08:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.